
RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane były także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, a także w roczniku „My, Sybiracy” wydawanym przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi.

Aktualnie relacje zesłańcze zgromadzone przez ten Oddział przekazane zostały do Instytutu Historii Uniwersytetu Łódzkiego, gdzie utworzono Archiwum Sybiraków. Będą one stopniowo opracowywane i udostępniane na łamach „Zesłańca”, podobnie jak relacje znajdujące się w zbiorach Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacamy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony Związku Radzieckiego. (red.)

*

Michał Jasudowicz – *Przez Sybir do Polski*

Urodziłem się 29 grudnia 1938 r. w Urniażach, gmina Datnowo, rejon Kiejdany w rodzinie szlachty Laudańskiej herbu Zaręby i Trzaski, jako najstarszy z czwórki dzieci. Moi rodzice – Jan i Ludwika z domu Butkiewicz – brali ślub w tym samym kościele, co rodzice naszego noblisty – Czesława Miłosza. Obaj byliśmy chrzczeni w kościele w Opitołokach. Nasze miejscowości były oddalone od siebie w linii prostej o około sześć kilometrów.

Rodzice posiadali w Urniażach gospodarstwo rolne o powierzchni około 60 hektarów. Powodziło się nam dość dobrze. W gospodarstwie główną produkcją była uprawa buraków cukrowych. Ziemia była dobra (pierwszej i drugiej klasy). Było też blisko do cukrowni w Kiejdanach. Skoro buraki, to również bydło i trzoda chlewna, ponieważ otrzymywało się z buraków wysłodki i melasę. To wszystko przydawało się do prowadzenia intensywnej hodowli. Do pomocy w gospodarstwie wynajmowani byli ludzie – przeważnie Rosjanie i Białorusini. Poziom hodowli i upraw był na bardzo wysokim poziomie, porównywalnym do poziomu zachodnioeuropejskiego.

Rodzice często przebywali na balach polonijnych. W tym rejonie było dużo polskich rodzin: Lutkiewiczowie, Monkiewiczowie, Butkiewiczowie, Ciechanowiczowie, Jasudowiczowie i wiele innych. Należeli oni do Towarzystwa Oświatowego, przy którym utworzono bibliotekę, były kółka artystyczne i taneczne. W Datnowie istniała polska szkoła.

Działalność ta upadła wraz z wybuchem II wojny światowej. Nasza okolica znalazła się na linii frontów wojsk radzieckich i niemieckich. W tkacie wojny front przechodził czterokrotnie, raz byliśmy pod rządami niemieckimi, drugi raz pod Rosjanami. Żołnierze zajmowali nasz dom. My [wówczas] mieszkaliśmy w ziemiance. Ziemianka była kopana bardzo szybko, ponieważ rychło zbliżał się front wojsk niemieckich. Była jednoizbowa. Położona była w rogu sadu przy dużej brzozie, a wejście zrobiono w kuźni kowalskiej za miechem kowalskim, przykryte arkuszem blachy. Żeby nie była widoczna z zewnątrz, zamaskowana była darnią.

Gdy przyszli Niemcy, to wyłapali drób (kaczki, gęsi, indyki), bardzo lubili je mieć na swoim stole. Na naszym podwórku znajdował się ich „sztab” i kuchnia. Gdy przyszli Rosjanie, to wyłapali bydło, konie i świnię.

W 1945 r., kiedy mieliśmy już dokumenty repatriacyjne na wyjazd do Polski, przyjechało NKWD z nakazem opuszczenia gospodarstwa, gdyż miał tu powstać kołchoz. Ojciec kategorycznie odmówił, pokazując dokumenty, że jesteśmy w trakcie wyjazdu do Polski. Wrócili następnej nocy z nakazem aresztowania ojca. Zabrali go do słynnego więzienia w Łukiszkach w Wilnie. Zarzucano ojcu, że posiadał broń podczas wojny, należał do AK i współpracował z Niemcami. Po dwóch tygodniach odbyła się rozprawa. Na podstawie zeznań dwóch nieznanych świadków skazano ojca na 10 lat ciężkiej pracy i wywieziono na Workutę. Zgodnie z wyrokiem skonfiskowali całą naszą gospodarkę, a my musieliśmy opuścić dom. Zamieszkaliśmy u Dziadków w Datnowie.

Nastał bardzo trudny okres naszego życia. Mama chodziła do różnych prac polowych, zabierała również mnie i siostrę Jankę. Młodsze rodzeństwo – siostra Wanda i brat Tadeusz – ze względu na trudne warunki domowe zostało przekazane dalszej rodzinie (państwu Tomaszewskim), która mieszkała na kolonii. Widywaliśmy ich tylko w dni świąteczne. W Datnowie mieszkaliśmy naprzeciwko milicji.

Po zajęciu Litwy przez Rosjan, powstała partyzantka litewska. NKWD robiło na nich obławy. Często słyszeliśmy w dzień i w nocy jęki i krzyki pojmanych partyzantów. Zabitych wykładali na chodniku pod oknami komendantury i obserwowali ludzi. Kto tylko rozpoznawał zmasakrowane ciała leżących, zostawał aresztowany. Mama zakazała nam tam chodzić. Sam widziałem, jak staruszki nie wytrzymały napięcia i padały na ciała, wykrzykując imię zmasakrowanego. Od razu wyskakiwali enkawudziści i zabierali te kobiety na przesłuchanie. Przesłuchiwane były też ich rodziny. Czekало ich wywiezienie na Sybir.

W latach 1946-48 rozpocząłem naukę w szkole litewskiej. Było mi bardzo ciężko, gdyż nie znałem języka litewskiego, a w domu rozmawialiśmy tylko po polsku. Z tego powodu często byłem stawiany do kąta. Klęczałem na żwirze z rękami uniesionymi do góry, w których trzymałem książki, a litewscy chłopcy mnie bili. Takich jak ja nie było wielu. Większość znała i polski i litewski. Nauka szła mi bardzo źle i powtarzałem klasę.

Tymczasem przyszedł maj 1948 r. Zaczęły krążyć pogłoski o wywózkach. Mama nie spodziewała się, że też jesteśmy na liście. Przyszli po nas podobnie jak po ojca – po drugiej w nocy. Dali nam 15 minut na zabranie najpotrzebniejszych rzeczy, tyle ile można było unieść. Mama obudziła nas i kazała się ubierać. Ukłękliśmy przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej i Mama zaczęła się modlić. Wojskowy uderzył Mamę karabinem i nakazał wychodzić. Mama zastanawiała się co zrobić z resztą dzieci, czy powiedzieć, że ma jeszcze dwójkę. Udawała, że się pakuje, a sama rozmyślała. Jeśli nie powie i zostaną, to później, gdy wyjedziemy, zabiorą dzieci do sierocińca i więcej ich nie zobaczy. Postanowiła powiedzieć, że ma jeszcze dwójkę dzieci. Główny enkawudzista nakazał przywieźć dzieci. Mama pojechała po nie z żołdakami. Wrócili nad ranem. Załadowali nas na furmankę. Niewiele mieliśmy dobytku. Sąsiedzi, obcy ludzie, rzucali na wóz to, co kto miał: chleb, mięso, a nawet pieniądze.

Był to ranek 21 maja 1948 r. Zawieźli nas na bocznice dworca kolejowego w Kiejdanach. Tam stał już zestaw kilkunastu brudnych wagonów po bydle i świniach. W wagonie były zbite piętrowe prycze. Przy wagonach stali rosyjscy żołdacy. W Kiejdanach staliśmy jedną dobę. W tym czasie zwozili ludzi z różnych okolic i tak zapełnił się cały skład pociągu. Ruszyliśmy wczesnym rankiem. Ktoś zażartował: „wycieczka na Sybir”.

W naszym wagonie było siedem rodzin, około 60 osób. Mimo że w wagonie były lekko uchylone drzwi i okienka, zaduch był okropny. Przy drzwiach stało wiadro, które ktoś postawił, służyło nam do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Chociaż wiadro było osłonięte kocem, największy problem był z dziećmi i młodzieżą.

Po drodze doczepiane były wagony z zesłańcami. To była Wilejka za Wilnem. Tam zmontowano cały skład wagonów. Zwożono tu ludność z okolic Wilna. Nasz wagon mieścił się pośrodku całego składu. Skład był bardzo długi. Na łukach torów można było zobaczyć jego długość, a dokładnie kiedy stawaliśmy nabrać wody. Podczas jazdy słychać było jak po dachach wagonów chodzili uzbrojeni żołdacy. Czasami pociąg zatrzymywał się na stacjach. Wypuszczano nas wówczas grupkami po kilka osób albo dzieci albo starców, by nabrać wody z żurawia kolejowego lub z kranów, które były przy torach kolejowych wzdłuż całego pociągu. Woda była bardzo śmierdząca. Tak jechaliśmy dzień i noc. Cały czas modlono się do Matki Boskiej, aby dojechać szczęśliwie do miejsca przeznaczenia.

Mnie udało się wybrać miejsce przy oknie i przez szparkę obserwowałem krajobraz. Dzięki temu szybciej upływał czas. Widziałem góry Ural i tunel, do którego wjechaliśmy. Jechaliśmy tym tunelem bardzo długo, było bardzo ciemno, tak jak w nocy. W tunelu nie było czym oddychać. Oprócz smrodu kału bydła i świń, z których wydzielał się amoniak, w wagonach było pełno dymu z parowozu. Nie było czym oddychać. Łapaliśmy powietrze jak ryby bez wody. Po wyjechaniu z tunelu pociąg zatrzymano, by dotlenić wagony i nabrać wody na małej stacji. Parowóz również uzupełniał wodę z żurawia.

Za Uralem pociąg każdego dnia zatrzymywał się w polu. Uzbrojeni żołdacy obstawiali wagony ze wszystkich stron, stali też na dachach wagonów. Wypuszczali wówczas nas grupami na załatwienie swoich potrzeb i wylanie wiader z odchodami. Trwało to bardzo krótko. Raz pociąg zatrzymał się niedaleko małego jeziora, nad brzegiem którego grupa wędkarzy łowiła ryby.

Pamiętam jak Mama kupiła od nich garść opalonych na wpół surowych rybek – płotek i okoni. Bardzo nam one smakowały. Jeden z wędkarzy chciał oddać złowione rybki, ale żołdacy go odgonili strasząc bronią. Mamę również zrugali i pogonili do wagonu. Żołdacy strzelali na postrach, mieli też prawo strzelania bez ostrzeżenia, gdy ktoś oddalił się za daleko. Chodziły pogłoski, że kilka osób zastrzelono podczas próby ucieczki.

Dojechaliśmy do rzeki Ob. Jechaliśmy bardzo długim mostem, w okienku widziałem migające przesła mostu. Wjechaliśmy w step. Widok był przepiękny, trawa falowała. Wyglądało to tak, jakby były to fale morskie, a step jak wielkie morze. Cała nasza podróż trwała około miesiąca. Wreszcie w ulewny dzień pociąg zatrzymał się na bocznicy kolejowej nad brzegiem rzeki. Zaczęto wysadzać nas z pociągu. Dorośli zaczęli szukać tyk, aby z koców zrobić ochronę od deszczu dla dzieci i osłonić swój dobytek. Od żołnierzy dowiedzieliśmy się, że jesteśmy nad rzeką Jenisej w Kraju Krasnojarskim. Przy brzegu stały przycumowane statki. Podczas parogodzinnego postoju podzielono nas na grupy według uprzednio przygotowanej listy. My trafiliśmy do trzeciej grupy i zostaliśmy załadowani na statek. Tam dano nam do podpisania dokumenty. Po pewnym czasie dowiedzieliśmy się, że zostaliśmy zesłani na dożywocie. Każda rodzina dostała kartę wyznaczającą miejscowość, do której została przydzielona.

Załadowany statek popłynął w górę rzeki. Rzeka była bardzo szeroka, brzegi górzyste. Krasnojarsk został po prawej stronie na wzgórzu, po lewej stronie widać było również górzysty brzeg. Nurt rzeki był bardzo wartki, fale kołysały statkiem. Statek był bardzo przepełniony, chluszczące fale wlewały się na pokład. Tym wartkim nurtem rzeki płynęły kloce drzewne, które uderzały w statek. Statek kołysał się na boki i z wielkim trudem parł pod prąd fal. Toaleta była na dole. Wypróżniało się wprost do rzeki. Wchodziło się do kajuty, gdzie była kratowana podłoga, stałeś nad wodą, woda chlustała na nogi. Był wielki strach.

Z radością powitaliśmy ranek. Na drugi dzień statek przycumował do dwóch prymitywnie wbitych pali przy lewym brzegu rzeki. Na brzegu stały furmanki. Na podstawie wcześniej otrzymanych przydziałów ruszyliśmy do miejsca przeznaczenia. Krajobraz był przepiękny: wysokie góry porośnięte lasem, a w wyższych partiach pokryte śniegiem. Tu pierwszy raz usłyszeliśmy słowo: „tajga”.

Po przejechaniu około 12 kilometrów dotarliśmy do miejscowości Dzierbiniec. Miejscowość ta leżała między górami a rzeką Dzierbiniec i od nazwy rzeki nosiła taką nazwę. Osada leżała przy samej tajdze. Usadzili nas w barakach zbudowanych z sosnowych i modrzewiowych szczap. Był to 24 czerwca 1948 r.

Pierwszym naszym zajęciem było wyjmowanie z koszul pcheł i pluskiew, a z głów wszy. Przez cały okres podróży nie było możliwości kąpieli ani wymiany ubrań. Wszystko było brudne i zawszone. Gdy to opisuję, czuję swędzenie skóry, a włosy stają mi dęba na wspomnienie tych przeżyć. Wysłano nas do „bani”, to jest łaźni („sauny”). Po zdjęciu swoich ubrań widok był okropny. Skóra każdego z nas była czerwona od krwi, a po kąpieli cała w pręgach od drapania. Kąpiel przyniosła wielką ulgę. Kto miał ubranie na zmianę, zakładał je, a kto nie miał, wyparzał swoje ubranie i zakładał jak świeże. Człowiek był jak nowonarodzony.

Następnego dnia wezwano nas na zbiórkę na duży plac i zaczęto przydzielać pracę. Na placu byli umundurowani enkawudziści. Wyczuwało się

wielką dyscyplinę i reżim. Każdemu przydzielano prace w myśl powiedzenia „kto nie pracuje, ten nie je”. Mundurowa milicja była obecna przy codziennym rozprowadzeniu do prac. Praca trwała od świtu do ciemna. Rano na zbiórkę dzwonił dzwon. Na placu przed biurem-kantorem na słupie był umieszczony lemiesz od pługa i on służył za dzwon. Zbiórki odbywały się zawsze na placu przed biurem. Za pracę dostawaliśmy przydział na zakup chleba. Pracujący mógł kupić 200 gram chleba, a niepracujący 100 gram. Nie zawsze były pieniądze na wykupienie przydziału. Były wówczas dni przymusowego postu. Szczególnie zimą, gdy wszystko było zamrożone, dni były krótsze, a zarobki dużo mniejsze niż latem.

Mama nakazała rodzeństwu słuchać mnie jak ojca, bo ojciec jest w więzieniu, a Mama w pracy. Spadła na mnie duża odpowiedzialność, ale starałem się z tego wywiązać, dopilnować wszystkiego, choć sam byłem zaledwie dziesięciolatkiem. Jako dziesięciolatek stałem się dorosły. Mama chodziła do prac polowych albo pracowała przy zwierzętach. Dzieci pasły krowy, owce i świnie. Roślejsi chłopcy pasali konie, których było 200 sztuk. Wraz z rodzeństwem w lecie pasłem świnie. Były to w większości maciory z większymi prosiętami oraz maciory zasuszone po odebraniu prosiąt. Miejscem wypasu były łąki nad brzegiem rzeki. Przy dużych upałach było wiele problemów. Świnie, żeby się ochłodzić, wchodziły do rzeki albo chowały się w zaroślach. Trzeba było uważać, bo świnie doskonale pływają i potrafiły przepływać rzekę, a z każdej sztuki należało się rozliczyć. W razie braku dostawałem lanie czym popadnie, a i tak trzeba było odnaleźć zagubioną sztukę. Bywało, że dostawałem niewinnie, bo sztuki się zgadzały. Prośna maciora potrafiła oprosić się w zaroślach i wtedy trudno ją było zabrać z prosiętami, bo była bardzo agresywna i rzucała się na ludzi. Wtedy prosiliśmy Mamę o pomoc. Zabieraliśmy prosięta, a maciora biegła za prosiętami. Czasem pomagało więcej osób.

We wrześniu 1948 r. poszliśmy do szkoły, była to czteroklasówka. Naukę rozpoczęliśmy z elementarza ruskiego, musieliśmy się uczyć tego języka od podstaw, gdyż znaliśmy tylko język polski. Nauka szła mi nie najlepiej. Zdarzało się często, że przed szkołą brygadzysta zabierał mnie do pracy, a lekcje odrabiałem od siostry Janki.

Przyszła pierwsza zima. Mróz około 30-45 stopni, zamiecie śnieżne, śnieg do trzech metrów. Zimą do szkoły biegaliśmy na nartach, było to około ośmiu kilometrów w jedną stronę. Narty robiłem sam. Siekierą i nożem strugało się brzozy, surowe deski do odpowiedniej grubości, a czubki zaginało się w garnku z wrzącą wodą. Były one toporne i ciężkie. Na takich nartach biegaliśmy w zawodach szkolnych i zjeżdżaliśmy z gór. Z siostrą Janką braliśmy udział w zawodach rejonu daurskiego. Tam startowaliśmy na nartach fabrycznych. Poszło nam bardzo dobrze. Ja zająłem w swojej kategorii drugie miejsce, a Janka w swojej trzecie.

Wreszcie nastąpiło długo oczekiwane święta Bożego Narodzenia. W Wigilię Mama przyniosła czarny chleb, który dzieliła na kostki. Nic bez jej zgody nie można było ruszać, a za naruszenie zasad było lanie. Mama dzieliła wszystko po równo. Dzieląc się chlebem, jak opłatkiem, przytulała nas i mówiła pełna wiary, że gehenna minie, że doczekamy czasów, kiedy wrócimy do Polski.

W czasie zimy Mama pracowała w magazynie przy zbożu i ziemniakach. Przy każdej nadarzającej się okazji przynosiła do domu w specjalnie zrobionych

do tego celu schowkach w kufajce różne rzeczy nadające się do jedzenia. Ze zboża piekła lepieszki-bliny.

W maju, czerwcu przychodziła wiosna. Słońce zaczęło mocniej przygrzewać, zaczęły się roztopy, z gór z wielkim hukiem do rzeki spływała woda. Mama awansowała na brygadzystkę w chlewni, młodsze rodzeństwo pasło świnię, ja pasłem owce i cielaki, a później konie, których wypas trwał dniem i nocą. Mamie udawało się czasem przynieść do domu mięso z padłych zwierząt (konie, bydło). Okaleczone zwierzę zabijano, ściągano skórę, a mięso gotowano w dużych garach. Wodę do picia i gotowania pobieraliśmy z potoku, który spływał z gór przez cały rok. W lecie przy dużych temperaturach pływało w wodzie dużo szczurów wodnych, żmij i różnego rodzaju wodnych zwierzątek. Wodę precedzaliśmy przez różne płótna. Problem z wodą był zimą. Codziennie musieliśmy wykuwać przeręble, gdyż mróz szybko ścinał wodę. Zimą woda była czysta.

Zimą pracowałem przy ścinie drzew. Brygada składała się z sześciu osób, czterech dorosłych i dwóch młodych. Zadaniem naszym było odkopywanie śniegu wokół drzew i smarowanie pił mazutem w czasie piłowania. Drzewa były bardzo grube o przekroju około dwóch metrów: sosna, modrzew i cedry. Przy wyrębie lasu w wieku 10 lat nauczyłem się palić machorkę lub suszone liście. Musiałem nauczyć się palić, bo były to jedyne chwile na odpoczynek, uniknięcie wyzwisk i bicia. Ponieważ byłem Polakiem i byłem bez ojca, dostawałem podwójnie. Mama dodawała mi otuchy, mówiła: „synku, nadejdą jeszcze takie czasy, że będziemy żyć szczęśliwie, że doczekamy się powrotu ojca”. Od Ojca mieliśmy sporadyczne wiadomości, gdyż w ciągu roku mógł wysłać tylko jeden list.

Następne zimy były jeszcze surowsze, mróz dochodził do minus 55 stopni Celsjusza. Przy takim mrozie drzewa pękały wzdłuż, ptaki zamarzały i spadały jak kamyki, a my nie pracowaliśmy przy wyrębie lasu. Przed mrozem chroniły nas bardzo grube, sztywne i niewygodne buty filcowe. Były one moczzone w wodzie, żeby nie przemakały i żeby nie przepuszczały mrozu. Były bez kaloszy. Do filców wkładało się nogi owinięte onucami i gazetami. W takich butach trzeba było nauczyć się chodzić. Gazety wkładaliśmy także w spodnie, żeby zabezpieczyć jądra przed odmrożeniem. Pomimo zabezpieczeń i tak odmroziłem uszy, nos, palce nóg i rąk, a także męskie narządy. Były to odmrożenia trzeciego stopnia. Odmrożone narządy uratowała mi Rosjanka, nacierając śniegiem odmrożone miejsca. Musiała robić to bardzo delikatnie, by nie odłamać penisa. Kiedy odmrożenie odchodziło, był okropny ból.

Robotnicy, którzy pracowali na powietrzu, dostawali perfumy na spirytusie do nacierania twarzy i uszu. Zima zaczynała się bardzo wcześnie, prawie zawsze przed rozpoczęciem roku szkolnego, we wrześniu. Drzwi do domów otwierały się do środka. Żeby wyjść z domu trzeba było kopać tunel ze schodkami. Duża ilość śniegu miała też dobre strony, ponieważ śnieg był izolatorem zimna.

Tak mijały lata. W lecie pracowałem też przy uprawach rolnych. Tam, gdzie była możliwość, uprawiano ziemię. Sadzono ziemniaki. Bardzo dokuczała nam malutka meszka, mniejsza od naszych much-owocówek. Atakowała ludzi i zwierzęta – czy pogoda, czy deszcz. To ciekawy region, zima, mróz – 50 stopni, a latem skwar do 50 stopni.

Z czasem awansowałem na pomocnika koniuszego. Stado składało się klaczy ze źrebackami i młodych ogierów. Żrebne klacze były osobno. Wraz z dwoma chłopcami w dzień pasaliśmy klacze ze źrebackami i ujeżdżaliśmy trzyletnie ogiery. Było to stado liczące 50 sztuk. Mimo że było to niebezpieczne zajęcie (konie były półdzikie), dla nas była to frajda. Na ujeżdżanie mieliśmy sposoby: do worka wsypywaliśmy zboże albo piasek i zakładaliśmy na grzbiet konia. Zawartość worka rozsypywała się na dwa boki. Młody koń początkowo zrzucał worek. Tak powtarzaliśmy do skutku, aż koń się zmęczył. Była to robota dla dwóch. Jeden z chłopców trzymał konia za uzdę, a drugi wskakiwał bez siodła. Rozpoczynał się taniec konia. Stawał na tylnych nogach i trwało to tak długo, aż się koń uspokoił. Drugi sposób polegał na tym, że konia wprowadzano do rzeki, do wody po brzuch. Koń był uwięziony przez wodę i nie mógł zrzucić jeźdźca. Po tym zakładało się siodło i koń był już gotowy do pracy.

Przekazywaliśmy te konie do stada koni roboczych. Pewnego razu jeden koń zrzucił mnie przez głowę. Był bardzo agresywny, ale po zrzuconiu mnie uspokoił się i dalej dawał się ujeżdżać.

Naszą pracę przy koniach nadzorował starszy koniuszy Wasyl. „Diadia” Wasyl był Rosjaninem, bardzo wymagającym człowiekiem. Musieliśmy ciężko pracować, żeby go zadowolić. Jeśli nie był zadowolony, to w ruch szło wszystko, co miał pod ręką. Ja dodatkowo dostawałem za „polską mordę”. Miałem wówczas 13-14 lat.

Latem kąpaliśmy konie w rzece. Konie to dobrzy pływacy, a z bardziej opornymi wjeżdżaliśmy do rzeki wierzchem. Zimą konie stały w szałasach. Były to stajnie robione z młodych brzoźek, bardzo szczelnie poukładanych „kapłami” do góry. Stajnie zasypane śniegiem były szczelne i ciepłe. Robocze konie, które powróciły z pracy, należało wyczyścić, wyszczotkować i nakarmić. Praca trwała prawie całą dobę, zatem na sen mieliśmy mało czasu – spaliśmy przy koniach schowani w sianie.

W okresie letnim razem z siostrą Janką zostaliśmy wysłani na sianokosy odległe od naszej osady o około 20 kilometrów. Polany między górami porośnięte były trawą. Trawa była wysoka, w ciągu dwóch miesięcy wyrastała na wysokość człowieka. Spaliśmy w barakach, była też kuchnia. Obiad jedliśmy późno, razem z kolacją, przeważnie była to zupa z wkładką mięsa (konina, baranina, a czasem nawet wieprzowina) i kromką chleba. Kosiliśmy, idąc z góry na dół, pierwsi szli najsilniejsi, a słabsi i młodzi na końcu. Przede mną szła siostra. Starłem się kosić tak, aby mój pokos pokrywał się z jej pokosem. Było bardzo gorąco, dokuczala meszka, mieliśmy okropne odciski na rękach, a na nogach rany. Nie było czym leczyć tych ran. Pracowaliśmy przy sianokosach od świtu do zmierzchu. Po powrocie mimo zmęczenia była zabawa, śpiewano piosenki, zapomniano o zmęczeniu i bólu. Spaliśmy na pryzkach zrobionych z gałęzi, na których kładło się świeże siano. Skoszona trawa schła szybko, już po dwóch dniach była sucha.

Gdy kosiliśmy trawę, trzeba było co jakiś czas klepać kosy. Pewnego dnia ja poszedłem z kosą do klepacza, aby wyklepać kosę. Po wyklepaniu kosi się lżej, bo kosa jest ostra. Z tyłu do mnie dobiegł kolega, który chcąc mnie wyprzedzić, rzucił kosę do tego, co klepie tak niefortunnie, że trafił prosto na moją prawą rękę. Rozciął ją dość głęboko, bliznę mam do dziś. Rana bardzo

krwawiła. Zawinięto mi tę ranę kawałkiem urwanej koszuli. Przydzielono mnie wówczas do pracy przy kuchni. Codziennie odwijałem opatrunek, gdy chciałem oddać moc. Ranę oblewałem moczem, by rana szybciej się goiła.

Po pięciu dniach byłem już na tyle sprawny, że dano mi konia. Mogłem konno wozić kopki siana do dużych kopców. Początkowo stogi układano normalnie na ziemi. Gdy pojawiły się ciągniki, siano zaczęto układać na ściętych dużych gałęziach drzew, najczęściej na brzozech. Zimą takie stogi zaczepiało się pod ciągnik i przyciągało wprost pod oborę, czy stajnię.

Mijały lata. Listy od ojca przychodziły rzadko, gdyż nie miał on stałego miejsca zsyłki, przerzucany był w różne miejsca Sybiru.

Po sianokosach pracowałem przy spławie drzew po rzece Dierbiniec i Tubil. Rzeki te łączyły się przed naszą miejscowością w dużą rzekę Dierbiniec, która wpływała do Jeniseju. Do głównej rzeki Jenisej mieliśmy około 25 kilometrów wodą. Całą zimę ładowaliśmy na lód ścięte drzewa z wyrębu w miejscowościach Tubil i Sachanakowo, położonych wyżej w górach. W początkowym okresie do różnych prac wykorzystywane były woły. Zaprzęgało się woły pojedynczo lub parami i wozilo zimą drewno z lasu na opał oraz różne towary do innych miejscowości. Najgorzej było latem podczas zbiórki siana. Przy dużych upałach wół był uparty, uciekał do wody lub w zarośla, chroniąc się przed bąkami i mszycą. Dużo łez wylałem podczas pracy z tymi zwierzętami.

W naszej miejscowości uprawiano także rolnictwo. Zaopatrywano w żywność miejscowości położone w górach, które zajmowały się spławianiem drewna. Ciekawe było wożenie zimą. Otrzymywało się przydział dwóch koni. Zaprzęgało się je do sań pojedynczo. Na pierwszych saniach siedział woźnica, a drugi koń przywiązany był do tylnej części pierwszych sań. Tam miał mały karmnik z sianem i owsem. Koń też ciągnął sanie. Taki zaprzęg miał dwoje, a nawet troje sań. Zdarzało się nawet, że jeden woźnica miał kolumnę 10 koni. Jechaliśmy, a właściwie szliśmy za saniami, bo siedząc można było zamarznąć.

Zimą woziliśmy do Dauraska skóry bydłce, owcze, świńskie i końskie. W głąb tajgi do miejscowości Suchanakowo i Tubil woziliśmy mięso (tusze) bydłce, świńskie i owcze. Do Tubila jechało się cały dzień. Nocowaliśmy w koniuszni w sianie przy koniach. Na drugi dzień wracaliśmy.

Wiosną, gdy rozpoczęły się roztopy, woda z ogromną siłą niosła w dół rzeki kłody drzew. Drzewa spławiano aż do rzeki Jenisej. Brygady z górskich miejscowości łączyły się z naszymi brygadami. Naszym zadaniem było dociąganie końmi i wołami rozrzuconymi przez prąd rzeki kłód. Od miejsca, gdzie rzeki się łączyły, brygady pracowały razem. Głównym narzędziem pracy były bosaki-bagry. Było to niebezpieczne zajęcie – musieliśmy uważać na ciężkie i bardzo szybko płynące kłody. Zdarzały się śmiertelne wypadki.

Od ciągłego przebywania w wodzie między palcami nóg i rąk powstawały trudno gojące się rany. Lekarzy nie było. Choroby i rany leczono swoimi sposobami. Bardzo popularna była lewatywa i napar z pokrzywy. Mimo trudu i zmęczenia było wesoło, śpiewano piosenki, szczególnie ruskie „czastuszki”. To też było lekarstwo. Sybiracy byli bardzo rozśpiewani, biedy się nie bali. Rodowity Ruski to dobry człowiek, ostatnią kromką chleba się podzielił. Gorzej było z zesłańcami. W naszej miejscowości było

19 narodowości. Oprócz zesłańców z republik radzieckich byli też: Polacy, Żydzi i Niemcy, zesłańcy jeszcze z czasów I wojny światowej.

Do marca 1953 r. panował ciężki rygor. Łatwiej było po śmierci Stalina. Gdy przyszła wiadomość o jego śmierci, zebrano nas na placu i kazano płakać. Nacieraliśmy oczy kawałkami cebuli, by obficie płynęły łzy. Cebula tam była bardzo cenna, bo panowała cynga (szkorbut). Żeby nie wypadały zęby, nacierało się nią dziąsła.

Bardzo cienione były gazety, bo zimą osłaniało się czułe miejsca, owijało się nimi nogi. Zimą, gdy mróz przekraczał 40 stopni Celsjusza, każdy obserwował jeden drugiego. Gdy zobaczył białą plamkę na twarzy, nacierał śniegiem to miejsce. W naszej miejscowości elektryczności nie było aż do naszego wyjazdu w grudniu 1955 r. Świeciło się szczapami przygotowanymi w lecie ze smolistej sosny lub modrzewia. Tak odrabiało się lekcje zimą. Jeden świecił, a drugi pisał czy czytał.

Nadeszła wiosna. Wezwano mnie do naczelnika. Szedłem wystraszony, gdyż taka rzecz zdarzała się bardzo rzadko, chyba że ktoś podpadł, a nie miałem sobie nic do zarzucenia. Zameldowałem się u naczelnika. Powiedział do mnie: Misza, jesteś wyrośniętym chłopcem, poradzisz sobie w nowej pracy, dostaniesz karabin i pojedziesz z Iwanem na pasiekę, będziesz między pszczołami i niedźwiedziami. Przydzielono nam dwa juczne konie. Załadowaliśmy na nie wcześniej przygotowany ładunek. Były to sól, mąka, proch, śrut, łuski i sponki, zapalki i świece. Naboje do broni robiliśmy sami, różne do zwierząt i ptactwa. Tak obciążeni ruszyliśmy w trasę, w górę rzeki Dierbino, początkowo przejeżdżną drogą przez tajgę, czasami ścieżkami zwierzyny. Wspinaliśmy się po górach, szliśmy nad przepaściami. Koniki syberyjskie były bardzo sprytnie, szybko wspiwały się pod górę. Należało uważać, aby za nimi nadążyć, było to bardzo niebezpieczne.

Na noc zatrzymaliśmy się na górskiej polance. Iwan rozsiadł konie, a ja musiałem przygotować drzewo na ognisko. W tajdze trzeba było uważać na rysie, które siedziały na drzewach i atakowały wszystko, co się ruszało. Mój szef strzelał na wiwat, aby je odstraszyć. Konie uwiązywaliśmy na długich linach, aby przez noc się napasty. Iwan poukładał siodła na ładunkach. Po kolacji ułożyliśmy się na siodłach, bo żmije nie lubiły końskiego potu. Ja nie spałem. Byłem pod wrażeniem nocnej przygody: syku żmij, szumu wodospadu spadającego do płynącej w dole rzeki Tiubli, trzasku iskier z ogniska, tajgi. Rozmyślałem o słowach Mamy, która powiedziała mi na pożegnanie: „bądź dzielny, jesteś już dorosłym mężczyzną”.

Miałem wówczas 14 lat. Ranek był piękny, do szumu rzeki dołączyły się trele ptaków. Napoiłem konie i ruszyliśmy w dalszą drogę. Szef całą drogę śpiewał frontowe piosenki: *W put' dorożka frontowaja, nie straszna nam bamboszka czużaja...* Iwan był frontowcem, przeszedł cały szlak bojowy do Berlina, pod Wrocławiem był ranny. Za walkę na wojnie był odznaczony medalami i bardzo lubił je nosić.

Nasza droga wiodła ścieżkami zwierzyny, która szła do wodopoju. W czasie drogi Iwan uczył mnie, jak mam zachowywać się w sytuacjach, gdy spotkam niedźwiedzia lub niedźwiedzicę z młodymi. Od niedźwiedzia nie można uciec na płaskim terenie, a z góry należy uciekać na wprost. Niedźwiedź z góry biegnie zygzakami ze względu na swoje krótkie przednie łapy.

Pod wieczór dojechaliśmy do naszej pasieki. Z daleka słychać było szczekanie psów. Było to duże stado. Pasieka położona była na dużej polanie. W dole płynęła rzeka Tiubil, której źródła zaczynały bieg w górach. Woda była bardzo czysta, widać było w niej mnóstwo ryb. Codziennie mieliśmy świeży, ciepły posiłek. Ryby należało wyjmować także ze względu na niedźwiedzie. Po dwóch dniach, po uporządkowaniu pasieki, upolowaliśmy byka na „solance” (na odległej od pasieki polance do wykopanych dołów wsypywaliśmy sól). Do tych „solanek” przychodziły zwierzęta, a my ubijaliśmy co dorodniejsze sztuki. Ze zwierzyny ściągaliśmy skórę, a mięso mieliśmy dla siebie i dla psów.

Zapasy solonego mięsa składaliśmy do kadzi, które przechowywaliśmy w ogromnych magazynach wykutych w skale. W skałach wykute były pomieszczenia, w których na okres zimy chowaliśmy ule, beczki z miodem i narzędzia. Wokół pasieki, na wzgórzach kwitły akacje, było dużo kwiatów. Pasieka miała 200 uli. Mój szef był wymagającym, ale dobrym człowiekiem, wiele mnie nauczył, był dla mnie jak ojciec. Nauczył mnie jak strzelać, pokazał jak celować, kazał zbierać łuski z wystrzelanych naboju, gdyż służyły one do wielokrotnego użytku. Po oddaniu pierwszego strzału upadłem i rzuciłem karabin daleko od siebie. Iwan kazał mi go podnieść i ucałować. „Ta broń – powiedział – nieraz może uratować Ci życie oraz dać pożywienie”. Następnie powiedział: „Misza, patrz, w tę stronę jest około 50 kilometrów, nie ma ludzi, w następną 90 kilometrów, a w tę nawet nie wiem, jak daleko jest do ludzi. Będziemy żyć z niedźwiedziami i innymi zwierzętami”.

Żywności nam nie brakowało, w rzece były ryby, w lasach tajgi jagody, grzyby i zwierzyna do wyboru. Przyszedł czas zbierania miodu. Iwan nauczył mnie, jak obchodzić się z pszczołami i już ich się nie bałem. Zebrany miód wkładaliśmy do dużych drewnianych beczek. Po odparowaniu miodu beczki szczelnie zamykaliśmy i odstawialiśmy do magazynu. I tak beczki stały do zimy. Zimą, gdy rzeka zamarzała, odbierano miód, a nam uzupełniano zapasy. Zima była długa. Aby sprawnie poruszać się po śniegu zrobiliśmy sobie narty. Były one krótkie ale szerokie. Spód nart podbijaliśmy kozią skórą, a sierścią na zewnątrz. Było to bardzo wygodne, bo zjeżdżając świetnie niosły, natomiast podchodząc pod górę szpiczyna zadzierała się i narty nie cofały się. Często polowaliśmy bez broni tylko z nożem. Na upatrzoną zwierzynę zjeżdżaliśmy z dużym rozpędem. Kozice nie mogły uciekać, gdyż grzęzły w śniegu i były łatwym łupem. Czasem upolowaliśmy dwie sztuki naraz.

Nadeszła następna wiosna, przeszło lato. Latem Iwan zostawił pasiekę pod moją opieką, a sam pojechał do Tiubilu po zaopatrzenie. Zostałem sam z pszczołami, psami i niedźwiedziami. Do obecności niedźwiedzi byliśmy przyzwyczajeni, przychodziły pod pasiekę ze wszystkich stron. Pewnej nocy podczas nieobecności Iwana przyszedł miś. Obudziło mnie szczekanie psów. Wziąłem przygotowaną na taką okazję dubeltówkę, spuściłem psy i pobiegłem za nimi. Pies zaatakował niedźwiedzia od tyłu, oddałem dwa strzały, a miś uciekł. Ja musiałem szybko uciekać do ziemianki, bo zaatakowały mnie rozjuszone pszczoły. Psy pobiegły za niedźwiedziem. Po rozmiarach uszkodzeń wywnioskowałem, że nie był to tylko jeden miś.

Po tym incydencie bardzo bałem się powrotu Iwana. Wiedziałem, że będzie krzyczał. Byłem załamany psychicznie, chciałem odebrać sobie życie, ale zabrakło mi odwagi. Miałem przygotowaną broń, ale zacząłem myśleć

o rodzinie i zastanawiać się, czy nie przysporzę im jeszcze więcej smutku i bólu. Powiedziałem sobie, że muszę być silny i odstąpiłem od próby samobójczej. Kiedy Iwan wrócił był wściekły przez jakiś czas, ale z czasem się uspokoił. Razem uporządkowaliśmy pasiekę.

Bardzo tęskniłem za Mamą i rodzeństwem. Zastanawiałem się, jak żyją, czy mają co jeść. Nadszedł czas przygotowania pasieki do przezimowania. Ule przenieśliśmy do wielkich ciepłych ziemianek. Iwan powiedział, że pojedziemy do domu. Byłem bardzo szczęśliwy, robota paliła mi się w rękach, szybko przygotowałem zapasy karmy dla psów. Osiodłaliśmy konie i po dwóch dniach dotarliśmy do naszej miejscowości. Za pracę i dobre sprawowanie dostałem wiaderko miodu. Radość rodziny była ogromna. W czasie mojej nieobecności wiele się w „uczastku” zmieniło. Miejscowość rozbudowała się, weszła mechanizacja. Zamiast koni zaczęto używać ciągników. Mama przekazała mi wiadomości, jakie miała od Ojca. Wynikało z nich, że Ojciec został przeniesiony do Kazachstanu. Iwan pożegnał się ze mną i pojechał na pasiekę już z innym chłopcem. Następnego dnia zostałem przydzielony do pracy na traktorze jako pomocnik traktorzysty. Maszyny, traktory były moja pasją, mogłem przy nich pracować całe dnie i noce. Mieliśmy sześć maszyn.

W sierpniu 1954 r., po odsiedzeniu wyroku, już jako wolny człowiek, przyjechał do nas Ojciec. Ojciec miał skończoną szkołę buchalterską i został zatrudniony w biurze, a po śmierci głównego księgowego, powierzono mu to stanowisko. Przez cały okres pobytu w więzieniu miał zaszyte w naramienniku dokumenty repatriacyjne. Dokumenty były bardzo zniszczone, pamiętam, jak je sklejał klejem zrobionym z mąki i mleka. Wiosną 1955 r. naczelnik pomógł Ojcu napisać list do Ministerstwa Spraw Zagranicznych ZSRR i do ministra Woroszyłowa¹ w sprawie repatriacji. Do listu Ojciec dołączył nasze stare dokumenty, zezwalające na wyjazd do Polski. Odpowiedź przyszła w listopadzie 1954 r. Dostaliśmy zezwolenie na wyjazd. Radość była ogromna, płakaliśmy z radości. Spełniły się słowa Mamy, że wrócimy do ojczyzny. Przez cały okres pobytu na Syberii Mama wpajała nam patriotyzm i miłość do Polski.

Do Krasnojarska mieliśmy dotrzeć 4 grudnia. W drodze do Krasnojarska, w Daursku Ojciec zachorował. Miał bardzo wysoką gorączkę, chcieli go zabrać do szpitala, ale się nie zgodził. Tu po raz pierwszy zobaczyliśmy felczera w białym fartuchu. Podczas całego pobytu na Syberii byliśmy leczeni sposobami naszych babć, a najlepszym lekarstwem była cebula, pokrzywa i lewatywa. Dali ojcu zastrzyk i pojechaliśmy dalej, bo odległość była duża, a czasu mało. W Krasnojarsku czekał na nas pociąg. Jakże inny, niż w tamtą stronę. Były to wagony Pafawagu Wrocław z biało-czerwonymi flagami. Czuliśmy się bardzo szczęśliwi, padliśmy na kolana, by podziękować Najświętszej Pani za opiekę.

6 grudnia 1955 r. po południu ruszyliśmy do Polski tranzytem Władywostok-Moskwa. Pociąg zatrzymywał się na stacjach, by nabrać wody do parowozu, nam dawali suchy prowiant i czarną kawę zbożową, której smak

¹ Kliment Woroszyłow w latach 1953-1960 był przewodniczącym Prezydium Rady Najwyższej ZSRR.

był zupełnie inny, niż ten z wywózki. W dzień podziwialiśmy piękne widoki: rozległy step, rzekę Ob, góry Ural i słuchaliśmy stukotu kół jadącego pociągu. Był on inny, szczęśliwy, bo wioził nas do Polski. Radość była nie do opisania. We wszystkich wagonach był radosny śpiew polskich piosenek, a szczególnie „Jeszcze Polska nie zginęła...”. Kobiety płakały, ale tym razem z radości. Wreszcie przejechaliśmy Ural i byliśmy w Europie. W wagonach słychać było okrzyki „Europa, Europa, koniec Syberii, coraz bliżej Polski!”. W Moskwie otrzymaliśmy prowiant i kawę, zmieniono parowóz i wyruszyliśmy w dalszą drogę. Nad ranem z trudem dotarliśmy do Kijowa. Do pomocy przyszedł drugi parowóz, który pchał nasz pociąg od tyłu. W Kijowie otrzymaliśmy suchy prowiant i kawę. Całe wyżywienie było darmowe. Dotarliśmy do granicy Polski. Pogranicznicy rosyjscy szczegółowo sprawdzali nasz bagaż i zabierali wszystkie rosyjskie dokumenty. Mnie udało się przewieźć zaświadczenie związków zawodowych. Była to legitymacja, stwierdzająca moje polskie pochodzenie, a także okres pracy na Syberii. Wydana była w 1955 r. przed naszym wyjazdem do kraju. W dokumentach jest wpisany rok rozpoczęcia pracy (1949), miałem wówczas 10 lat. Natomiast składki zaczęto pobierać, gdy skończyłem 16 lat.

Dotarliśmy do polskiej stacji kolejowej Przemyśl. Tu wszystkich wracających do kraju podzielono na dwie grupy. Jedna jechała do Żurawicy, a druga do Giżycka. Mama wybrała Giżycko, gdyż w Ełku mieszkała jej siostra z rodziną. Do Giżycka dotarliśmy w Nowy Rok 1956.

Powojenne deportacje ludności polskiej w głąb ZSRR z obszarów republik radzieckich graniczących z Polską to wciąż niewyczerpany temat badawczy. Po zakończeniu przesiedleń obywateli polskich z terenów wschodnich II Rzeczypospolitej, odbywających się na mocy umów z września 1944 r. na Litwie, w Białorusi czy na Ukrainie pozostały jeszcze dość liczne skupiska ludności polskiej, które władza radziecka poddawała rozmaitym formom represji. Warto zauważyć, że wielu naszym uniemożliwiono przesiedlenie się do kraju, mimo posiadanych przez nich dokumentów ewakuacyjnych. Taki los spotkał rodzinę Jasudowiczów. Mieszkali oni na terenach, które przed II wojną światową należały do Litwy (wieś Urniaże pod Kiejdanami) i byli formalnie obywatelami litewskimi. Po 1944/45 r. uznawani byli przez władze Litewskiej SRR za obywateli radzieckich. W 1945 r. ojciec Autora – Jan Jasudowicz został aresztowany przez NKWD i wywieziony do łagru na Workucie. W tej sytuacji rodzina (matka i czwórka dzieci) pozostała na Litwie w nadziei na rychłe zwolnienie ojca i męża. Niestety w 1948 r. zostali deportowani do Kraju Krasnojarskiego. Po miesięcznej podróży na Wschód trafili do kołchozu Dzierbiniec w rejonie daurskim (obecnie jego obszary znajdują się w granicach rejonu bałachtińskiego) na południe od Krasnojarska. Tam też spędzili kolejnych siedem lat.

Niniejsza relacja stanowi świadectwo chłopca, który w chwili deportacji miał niespełna 10 lat. Na zsyłce musiał jednak bardzo szybko „dorosnąć”, by zaopiekować się młodszym rodzeństwem, podczas gdy matka pracowała w kołchozie. Michał Jasudowicz na Syberii dorósł, a dramatyczne okoliczności wyrobiły w nim umiejętność radzenia sobie w trudnych sytuacjach. Wiarę w szczęśliwy powrót do ojczyzny przez wszystkie lata zsyłki podtrzymywała w rodzinie matka. Relacja jest bardzo wartościowym źródłem wiedzy o życiu zesłańców, którzy doświadczyli sybirackiego losu po II wojnie światowej. Jest najnowszym dopływem do Archiwum Sybiraków UŁi nosi sygnaturę R-365. Tekst został przepisany i poddany redakcji, a także nieznacznie skrócony.

Wojciech Marciniak